

Zły czarnoksiężnik i jego demoniczni pomocnicy

Może jestem zbyt podejrzliwy, ale nie mogę się pozbyć myśli, że w liberalnych kręgach rośnie apetyt na cenzurę – pisze Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”

Świat odetchnął z ulgą, bo wreszcie wiadomo co się stało. Brexit, Trump – wszystko się wyjaśniło. Wydało się kto ukradł zwycięstwo. Część winy ponosi Mark Zuckerberg ze swoim Facebookiem. Czy chodzi o niefrasobliwość czy o coś więcej okaże się niebawem. Faktem jest, że właśnie przez niego magiczna różdżka dostała się w ręce złego czarnoksiężnika, który zawładnął wolą biednych, głupich ludzi. Wprawieni w stan hipnozy, oszołomieni, zmanipulowani stali się bezwolnymi wykonawcami politycznych instrukcji. Wzgardzili mądrą Clinton, poparli Trumpa, głosowali za „leave”, a kto wie może nawet na Prawo i Sprawiedliwość. Za czarodziejską różdżkę zły czarnoksiężnik płacił brudnymi pieniędzmi. Bo zły czarnoksiężnik jest bardzo zły. Jest potworem, który nie cofnie się przed niczym – szantaż, stręczycielstwo, przekupstwo, to dla niego bułka z masłem. Jest też niezwykle przebiegły. Jest Cambridge Analytica!

Oto wreszcie prawdziwie terapeutyczna afera. Seria niedorzecznych wydarzeń znalazła zadowalające rozwiązanie. Analizy społecznych zmian nie są potrzebne. Psu na budę badania dlaczego ludzie nie chcą dobrodziejstw lewicowo-liberalnych reform, dlaczego nie podoba im się

*Nie po raz pierwszy
zwolennicy rozumu i wolności
okazują się wyjątkowo
sceptyczni jeśli idzie o ludzkie
zdolności krytyczne i
możliwość unikania
prymitywnej manipulacji*

Bruksela, co dobrego
widzą w państwie
narodowym,
dlaczego nie porywa
ich perspektywa
powstania stref
wolnego handlu i nie
uwznieśla wizja
wielokulturowych
społeczeństw. Furda
męczący namysł nad
ekonomicznymi

skutkami globalizacji, furda przykre hipotezy na temat alienacji elit,
precz z nudnymi analizami deficytów demokracji. To wszystko jest
całkowicie niepotrzebne. Zawracanie głowy. Zresztą każdy rozsądny
człowiek wiedział o tym od zawsze. Mark Lilla i inni czarnowidze
niepotrzebnie psuli nam humor. Cambridge Analytica podstępnie
ukradł dane pięćdziesięciu milionów osób, stworzył precyzyjne profile,
a potem zamknął ludzi w informacyjnych bańkach nie tylko
pozbawiając ich szans na dostrzeżenie zalet Hilary Clinton, ale
wmawiając im, że pies to kot. Jakie to proste i jakie złe. Prawda?

Czy można się dziwić, że politycy prześcigają się w stanowczości?
Każdy żąda by Zuckerberg zdał sprawę z tego, co się stało. Każdy chce
go przesłuchać. Wzywa go komisja ds. energii i handlu Izby
Reprezentantów Kongresu USA. W tyle nie pozostaje niemiecki rząd.
Minister sprawiedliwości Katarina Barley z całą stanowczością,
twierdzi, że naruszenie praw o ochronie danych stanowić może
zagrożenie dla demokracji. W Anglii wyjaśnień oczekuje
przewodniczący komisji ds. cyfryzacji i mediów Izby Gmin. W imieniu
500 milionów Europejczyków przed swoje surowe oblicze wezwał

Zuckerberga sam przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani. Nie śmiem się narzucać, ale może prościej byłoby za jednym zamachem, z transmisją na żywo, choćby w Madrycie? Szpiczaste czapki, stos, skruszeni grzesznicy. Zuckerberg płonie, a nawrócony grzesznik Chris Wylie dawny szef działu badań CA uroczyście podpisuje protokół spowiedzi złożonej na szpaltach Guardian. A potem przy dźwiękach „Ody do radości” UE uroczyście przejmuje zarząd Facebooka.

Zwalanie wszystkiego na marketing, to raczej wyraz pogardy niż realizmu, raczej ucieczka przed rzeczywistością niż dowód przenikliwości

Kpię sobie, a przecież sprawa jest poważna. Nie bagatelizuję podobnych manipulacji tyle, że problem ten naprawdę trudno uznać za sensacyjną

nowość. Jak długo podobnych rzeczy dopuszczał się biznes lub „nasi”, tak długo sprawa nie wydawała się szczególnie niepokojąca. Jeszcze w czasie ostatniej kampanii Obamy liberalna prasa z entuzjazmem komentowała skuteczne wykorzystywanie danych służących do efektywnego docierania do wyborców. Może czegoś nie pamiętam, ale chyba nikt nie łamał sobie wtedy głowy jak pozyskiwano dane. Zresztą chyba każdy rozgarnięty użytkownik FB zdaje sobie sprawę, że tzw. portale społecznościowe, to prywatne biznesy handlujące uwagą użytkowników. Owszem warto pomyśleć czy nie powinny tu obowiązywać surowsze zasady. Ale nie o zasadach gromadzenia i agregowania informacji chciałbym mówić. Ciekawsze wydają mi się założenia tkwiące za tą aferą, no i jej możliwe skutki.

Nie po raz pierwszy okazuje się, że zwolennicy rozumu i wolności okazują się wyjątkowo sceptyczni jeśli idzie o ludzkie zdolności krytyczne i możliwość unikania prymitywnej manipulacji. Nie przeczę, że sprawny marketing polityczny zwłaszcza w wypadku ludzi żyjących w informacyjnych bańkach może mieć poważny wpływ na nasz obraz świata. Ale czy zniewala? Nie żyjemy w matrixie. Ludzie mają do dyspozycji rozmaite media. Te społecznościowe, to tylko pewien fragment świata. No i przecież widzą co ich otacza. Żadna manipulacja nie przekona bezrobotnego mieszkającego w którymś z tzw. zardzewiałych stanów, że żyje mu się świetnie a rządy Obamy poprawiły jego los. Zwalanie wszystkiego na marketing, to raczej wyraz pogardy niż realizmu, raczej ucieczka przed rzeczywistością niż dowód przenikliwości.

Druga sprawa to możliwe skutki tej afery. Może jestem zbyt podejrzliwy, ale nie mogę się pozbyć myśli, że w liberalnych kręgach rośnie apetyt na cenzurę. Niedawno pisałem tu o rosnącym zagrożeniu budowanym w imię wolności liberalno-demokratycznym państwie policyjnym. Żeby w imię wolności wolność ograniczyć trzeba wskazać na wyższą konieczność i na demonicznego wroga. Rozwiązanie wyzwolić ma z kłopotów, w które wpędza nas ludzka słabość i podli ludzie. Cenzurę trzeba wprowadzić w imię wolności. Oczywiście tylko przejściowo – tylko do czasu aż źli znikną, a głupi zmadrzeją.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 14/2018